

„Podstawową przyczyną, dla której podjęliśmy się transformacji zespołu, była dramatyczna sytuacja finansowa KKS „Lech”... W takim stanie rzeczy dalsze jego normalne funkcjonowanie stało się niemożliwe. Narosłe zobowiązania blokowały jakikolwiek ruch w sferze majątkowej. Obecnie każdy z polskich klubów może się znaleźć w podobnej sytuacji. Stąd też przy podejmowaniu decyzji o połączeniu klubów nie mieliśmy żadnych wątpliwości co do tego, że będziemy mogli liczyć na pomoc stowarzyszenia, w którym jako klub jesteśmy zrzeszeni – Polskiego Związku Piłki Nożnej. Tymczasem stanowisko, jakie zajęło prezydium PZPN, stanowiło dla nas niemałe zaskoczenie”.

Są to fragmenty pisma, jakie na moje nazwisko, ale adres Warszawskiego OZPN, przesłał prezes PKP „Lech” Ryszard Dolata. Sądzę, że podobne listy otrzymali również prezesi innych okręgów. Dolata zabiegał o naszą wyrozumiałość i bezstronność, aczkolwiek wiedział, że bardziej jesteśmy za przestrzeganiem prawa, niż przejawami miłosierdzia. Stanowiska klubu uznał za słuszne, natomiast decyzję prezydium PZPN za błędną od A do Z. W tej sytuacji zarząd Związku, a przecież już nie byłem wiceprezesem PZPN, właśnie mnie powierzył wcale niełatwe zadanie mediacji i doprowadzenia do rozwiązania, które pozwoliło by w tej sprawie „zachować twarz PZPN-owi, zaś nowemu klubowi PKP „Lech” Poznań – z takim powodzeniem jak dotychczas robił to KKS „Lech” – dobrze służyć zakochanej w futbolu Wielkopolsce i dobremu imieniu Lecha w całym kraju”.

Nie był to przejaw sympatii okazany wyłącznie „Kolejorzowi”. Na żywym organizmie wreszcie uwiarygodniono od dawna lansowaną tezę, że kluby z tradycjami nie tylko należy szanować, ale także trzeba im pomagać. Ja też nie miałem wątpliwości, że „Lech – Lech – Kolejorz” zasługuje w tej złożonej sprawie na względy szczególne. Po tych wydarzeniach poznański klub nie za szybko „rósł w siłę”, na przełomie stuleci nawet spadł z ekstraklasy, ale nie po raz pierwszy

zdołał przewyciężyć nękające go chwile słabości. W roku 2004 na oczach ludzi nie zawsze mu przyjaznych zdobył Puchar Polski. Teraz czas na sukcesy w lidze!... Ma to ułatwić kolejny mariaż tym razem z Amicą Wronki.

PONURY JUBILEUSZ

Zbliżała się 75 rocznica powstania PZPN. Kierowany przeze mnie zarząd Warszawskiego OZPN zgłosił 8 propozycji będących w stanie uświetnić ten jubileusz. Postulowaliśmy między innymi ogłoszenie konkursu - plebiscytu na najlepszego piłkarza 75-lecia, zorganizowanie turnieju z udziałem najstarszych ligowców i historyczno-sportowego sympozjum. PZPN w minimalnym stopniu wykorzystał te propozycje. Mimo uszu puszczono również dezyderat walnego zebrania delegatów okręgu warszawskiego: ... *„Zobowiązuje się Zarząd WOZPN do wystąpienia z wnioskiem do Zarządu PZPN o ogłoszenie z okazji 75-lecia PZPN amnestii i anulowania kary trzech punktów ujemnych, nałożonej na cztery kluby I ligi po zakończeniu rozgrywek sezonu 1992/1993. Umożliwi to sprawiedliwą, w sportowej atmosferze walkę o mistrzostwo Polski w 1994 roku”*.

Teraz dość luźno byłem związany z PZPN, natomiast w WOZPN nadal działałem aktywnie. Priorytetem znowu było tu szkolenie, głównie drużyn młodzieżowych, sprawność rozgrywek i stan gospodarki finansowej. Okręg z ostrego wirażu wyraźnie zaczął wychodzić na prostą. Bez żadnych kompleksów podjęliśmy więc działania zmierzające do ogłoszenia przez PZPN „jubileuszowej amnestii”. Napisałem i wysłałem w tej sprawie dwa odrębne pisma – jedno do Zarządu PZPN, a drugie do prezesa Kazimierza Górskiego. Było mi przykro w tej formie komunikować się z przyjacielem, ale wymagały tego urzędowe procedury.

... „Wystąpienie Zarządu WOZPN do Polskiego Związku Piłki Nożnej z postulatem amnestii jest podyktowane treścią Uchwały Walnego Zebrania WOZPN z grudnia 1993 roku. Delegaci zobowiązali członków Zarządu Okręgu do zabiegania w PZPN o prawo łaski dla czterech klubów, w tym również dla Legii Warszawa – członka WOZPN... Naszym zdaniem prezydium Zarządu PZPN przewrotnie interpretując paragraf 28 ustęp 1 punkt 17 Statutu PZPN, oddaliło naszą prośbę... W nierównej walce o racje Okręgu i ukaranych klubów pozostały nam już tylko ambicja osobista i honor”...

Prezes Górski nie odpowiedział na to pismo jednoznacznie: – „Postawię wniosek o zwołanie posiedzenia zarządu, który – być może – zadecyduje o uchwaleniu amnestii”. Zarząd PZPN obradujący w Krakowie pozostał jednak głuchy na prośbę WOZPN i swojego sternika. Skwitowałem to krótko: – „PZPN-owi nie zależy na tym, aby w roku niecodziennego Jubileuszu, przynajmniej w pewnym stopniu usunąć skutki kontrowersyjnych decyzji podjętych na zeszłorocznym Walnym Zgromadzeniu. Obniżono wówczas rangę polskiego piłkarstwa w kraju i na arenie międzynarodowej, Lechowi Poznań bezprawnie zafundowano mistrzostwo Polski, a Legię i ŁKS wyeliminowano z rozgrywek europejskich. W rezultacie – zamiast jednoczyć rozbite środowisko piłkarskie – pogłębiono różnice i regionalne antagonizmy. Takie praktyki dezintegrują ludzi futbolu”.

Mówił chłop do obrazu, a obraz do niego ani razu. Odpowiedzi na te zarzuty nie otrzymaliśmy, jedynie za pośrednictwem „Sztandaru Młodych” dowiedzieliśmy się, że „**Decyzja PZPN jest suwerenna i ostateczna**”. Piłkarska Warszawa w miarę logicznie skomentowała to oświadczenie: – „Nie jesteśmy zaskoczeni. Przecież w większości ci sami ludzie, którzy bez udowodnienia winy wydali wyrok, teraz nie mają odwagi go zmienić. Oficjalnie za-

słaniano się brakiem stosownych uprawnień. Bzdura! Amnestia – o co zabiegaliśmy – nie jest przecież zanegowaniem wydanego wyroku, a tylko darowaniem części kary. Zatem nie brak podstaw prawnych lecz dobrych chęci kierował działaczami PZPN”.

Spór na linii Bracka – Aleje Ujazdowskie trwał ponad rok. Jako prezes WOZPN trzymałem stronę pokrzywdzonych klubów i sfrustrowanych działaczy, natomiast Kazimierz Górski był lojalny wobec prezydium i zarządu PZPN. Nie nadszarpnęło to naszej przyjaźni. Każdy jednak robił teraz swoje. Prezes nadal darzył mnie sympatią i zaufaniem. Nasze kontakty były teraz nieco rzadsze (nie byłem nawet na uroczystościach jubileuszowych PZPN w Krakowie!), ale pamięć o latach wspólnej pracy wciąż żywa. Górski zaproponował mi zredagowanie publikacji traktującej o 75-letniej działalności PZPN. Przyjacielowi się nie odmawia.

Opracowałem konspekt, wskazałem wiarygodnych autorów, między innymi Mieczysława Szymkowiaka, chodzącą encyklopedię naszego futbolu i sam napisałem kilka rozdziałów. Nie była to charakterystyczna dla niektórych „dziejopisarzy” książka telefoniczna, lecz nieco szersze spojrzenie na te Diamentowe Gody PZPN. Tę formę publikacji przyjęto w Związku z uznaniem. Prezes Kazimierz też był wylewny. Na honorowym miejscu tej historycznej pozycji skreślił pod moim adresem naprawdę kilka ciepłych słów. Najbardziej jednak zaskoczył mnie współautor „**Historii PZPN**” red. Paweł Smaczny. W trzech słowach wyraził od lat okazywaną sympatię: – „Swemu czarnoksiężnikowi – uczeń”.

Najłatwiej i najprościej jest narobić we własne gniazdo, ale posprzątać po sobie brudy i udawać, że się świeci nieskazitelną czystością intencji, tak w kraju jak na zewnątrz – w Europie, już znacznie trudniej. Wydarzenia z Krakowa i Łodzi oraz późniejsze babranie się w nich na zebraniach PZPN znacz-

nie zeszpeciło i tak już mocno skancerowany wizerunek całego polskiego piłkarstwa. Entuzjastycznie zapowiadany Jubileusz 75-lecia istnienia PZPN odbył się w nastroju dalekim od powszechnej szczęśliwości i jedności środowiska.

Pod Wawelem zabrakło piłkarskiej Warszawy, znaczącego koalicjanta grupy pięciu założycieli PZPN. Poczuliśmy się jak trędowaci. Kawę na ławę wygodną dla oskarżycieli wyłożył red. Ryszard Niemiec. Nawiązując do grzechów z burzliwej historii władców Mazowsza również współczesnym przypisał skłonności do buntów i protestów. Mnie szczególnie wytknął nadmierne wybujałą ambicję i... rozbijacką działalność. Jak to się ludzie zmieniają? Po mistrzostwach świata w Hiszpanii ówczesny felietonista „Życia Literackiego” nazwał mnie w tym tygodniku „niecodziennym i wysoko cenionym znawcą piłkarstwa”. Zapytałem więc we Wrocławiu na wyjazdowym zebraniu zarządu PZPN:

– Rysiu!... Kiedy pisałeś o mnie prawdę – wtedy czy teraz?

Red. Niemiec zachował się elegancko i pryncypialnie. Zaniechał bzdurnych inwektyw:

– Nadal widzę cię takim jakim jawiłeś mi się po Espana 82. Masz dobre spojrzenie na ten nasz futbol. Ostatnio jednak obaj nieco się zagalopowaliśmy...

Była to odpowiedź wyraźnie zmierzająca do zaprzestania dalszych kłótni i... podania sobie rąk na zgodę. WOZPN wyciągnął pojednawczą dłoń również do centrali z Alei Ujazdowskich. Zaraz po zdobyciu przez Legię mistrzostwa Polski w 1994 roku zarząd WOZPN publicznie oświadczył: „Piłkarze Legii na boisku usunęli przyczyny, które zrodziły różnice zdań między PZPN i WOZPN”. Głupi i niepożądany spór ostatecznie zażegnano na zebraniu zarządu PZPN w dniu 27 czerwca 1994 roku.

Finalne uroczystości z okazji diamentowych godów PZPN odbyły się w Warszawie przy ulicy Żwirki i Wigury, w tym samym ośrodku wojskowym, w któ-

rym rok wcześniej na Nadzwyczajnym Walnym Zgromadzeniu PZPN odebrano Legii mistrzostwo Polski. Tu już warszawskie piłkarstwo reprezentowała dość liczna grupa działaczy, w tym również – ja, prezes WOZPN i współautor „ZARYSU HISTORII PZPN”. Było wielu gości z kraju i zagranicy, prezes Kazimierz Górski zapoznał ich z dotychczasowym dorobkiem polskiego piłkarstwa. Wręczono wyróżnienia i odznaczenia. Do niedawna „buntowniczy” WOZPN otrzymał 25 medali pamiątkowych. Prezes Górski osobiście wręczył je zasłużonym działaczom w dniu 22 listopada 1994 roku w siedzibie WOZPN przy ulicy Brackiej 18 w Warszawie.

W kraju więc wszystko powoli wracało do normy, aczkolwiek nadal nie wszędzie doceniano faktyczną wartość ówczesnej Legii. Tu i ówdzie sugerowano, że tym razem w zdobyciu mistrzostwa Polski pomógł wojskowym sędzia Sławomir Rędziński z Zielonej Góry. Nowej draki na szczęście nie było. Słusznie i odważnie decyzji arbitra bronili Alojzy Jarguz i Eugeniusz Kolator. „Kawiarniani” znawcy przepisów skapitulowali. Wciąż dobrze mieli w pamięci zeszłoroczne kary nałożone przez Europejską Unię Piłkarską. Bokiem wyszły nam wszelkie donosy do UEFA osób prywatnych, nieprzychylnych naszej lidze, historyczne opisy prasy i niejednoznaczne „wyjaśnienia” delegatów PZPN.

W styczniu 1995 roku warszawscy działacze po raz pierwszy w historii Okręgu, w kawiarni „U HUTNIKÓW” na Bielanach, zorganizowali spotkanie noworoczne na skalę dotychczas niespotykaną. Zaproszono ludzi futbolu z Łodzi, Gdańska, Olsztyna, Białegostoku i oczywiście z PZPN. Byli przedstawiciele klubów wielkich, średnich i małych, dopisała prasa. Cel – zbliżenie i integracja środowiska. Nieco inny charakter, istotny głównie dla sfery działań organizacyjno-szkoleniowych, miało lutowe „PIŁKARSKIE FORUM DYSKUSYJNE” zorganizowane przez PZPN i Krakowski OZPN. Warszawski Okręg reprezentowali: Jerzy Lechowski (prezes), Witold Abert (wiceprezes), Euge-

niesz Kolator (przewodniczący Komisji Rewizyjnej), Leszek Rylski (były prezes WOZPN i sekretarz generalny PZPN), Józef Wiśniewski (Legia) oraz dr Kazimierz Doktor.

Delegacja Warszawy wykazała na tym Forum dużą aktywność. Dr Doktor przewodniczył zespołowi problemowemu „MODEL KLUBU PIŁKARSKIEGO”, mecenas Abert współtworzył zarys przyszłego STATUTU PZPN, a Leszek Rylski nakreślił kształt współczesnego systemu nadawania licencji klubom i trenerom. Prezes Lechowski, mówiąc o modelu klubu piłkarskiego, położył nacisk na właściwe zdefiniowanie i rozwijanie pojęcia futbolu amatorskiego i profesjonalnego. Podkreślił też konieczność równoległego rozwijania w klubach wszystkich klas funkcji ekonomicznych i sportowo-widowiskowych. Muszą tu być zachowane odpowiednie proporcje. Klub to przedsiębiorstwo o wyjątkowo wrażliwej strukturze. Niedocenianie szkolenia i spychanie na boczny tor sportowego współzawodnictwa – to wypaczenie istoty kultury fizycznej i podcinanie własnych korzeni.

Rok 1995 charakteryzował się jednak dość dużą aktywnością w sferze organizacji i szkolenia. Formowano nowe ekipy kierownicze w okręgach i centrali. Tym razem już nie wybierano prezesów i członków zarządów przez aklamację, niemal wszędzie o przejęcie steru w OZPN-ach i PZPN ubiegało się kilku kandydatów. Powoli dojrzywały procedury w pełni demokratyczne. W Warszawie na przykład o fotel prezesa ubiegali się: Ryszard Bęben (Gwardia Warszawa), Kazimierz Doktor (Legia), Wit Żelazko (Mazur Karczew) i Jerzy Lechowski. Po prezentacji programów przez kandydatów przeprowadzono wybory tajne. Zdecydowane zwycięstwo (różnicą ponad stu głosów nad drugim na liście) odniósł dotychczasowy prezes. To już trzecia kadencja. Jaka będzie?

... Zbliży się 75 rocznica działalności WOZPN – powiedziałem w słowie końcowym. – Wkraczamy w rok jubileuszowy z podniesionym czołem. Mamy

Legię w „potrójnej koronie”, Polonię znowu wśród najlepszych, stale powiększa się liczba klubów i zawodników, nasza piłkarska piramida zaczyna nabierać właściwych kształtów. Znamy swoją wartość sportową i intelektualną. Te atuty dobrze wykorzystuje PZPN. Warszawski OZPN zawsze był dla centrali źródłem pozyskiwania ofiarnych działaczy, wybitnych sędziów i trenerów, utalentowanych piłkarzy, a ostatnio jest także kuźnią sprawnych organizacyjnie sponsorów. Chcemy kontynuować ten kurs, pozyskiwać przy tym sympatię sąsiadów i sportowych rywali. Wszak Warszawa nie tylko potrafi walczyć i dobrze pracować, ale... „Warszawa da się lubić”. Szanujmy te wartości!

UMIZGI MAGNATA

Od dość dawna wiedziałem, że w PZPN na drugą kadencję już nie będzie kandydował prezes Kazimierz Górski. W tej sytuacji – tego ukryć się nie da – czyniłem starania, aby nowy prezes Związku był z Warszawy. Stosowne grono działaczy stołecznych organizowało więc spotkania informacyjno-sondażowe w wybranych klubach, a także w okręgach zrzeszonych w makroregionie warszawsko-mazurskim. Uznaliśmy, że z tego środowiska najlepszym kandydatem na nowego sternika PZPN będzie redaktor Jerzy DOMAŃSKI. Wieści w tej sprawie dotarły na Śląsk, gdzie do funkcji szefa Związku przymierzał się Marian Dziurawicz. Miał za sobą południową Polskę. Ze mną również usiłował się dogadać. Sprzyjał mu dotychczasowy prezes.

– Tu Górski! – słyszę w słuchawce głos Kazia. – Jerzyk masz chwilę czasu?...

– Dla ciebie Kaziu zawsze! A co się urodziło?

– Przyjedź na Mokotów... Nie, nie do mnie na Madalińskiego... Będę czekał w tym gmachu wojskowym przy Alejach Niepodległości. Tam pogadamy...

Trafiłem bez trudu, już nie raz byłem tam na piwku, i z Górkim i z Koncewiczem, wszak „Fajka” mieszkał na tyłach tej kamienicy. Podjechałem windą na piąte czy szóste piętro i już w korytarzu usłyszałem rozmowę:

– Prezesie, znam Jurka od blisko czterdziestu lat, mamy wspólnych przyjaciół... Ale w tej sprawie nic nie wskóram. On stawia na Domańskiego... Tylko pan może mi pomóc! – tak widział swoje prezesowskie szanse Marian Dziurawicz.

Podszedłem do bogato zastawionego stolika. Flaszeczka, chyba nie pierwsza, kilka buteleczek „Żywca”, głośno, tylko czujność towarzystwa jakby nieco osłabiona. Nie zauważono, że już jestem, wszystko słyszę i widzę. Kogo tu jeszcze mamy? Dziurawicz, Bugdoł, Betlejewski i oczywiście prezes Górski. Wszyscy mają mocne głowy. Włączone mnie do kompanii i powolutku wyłuszczano cel spotkania. Marian mówił niewiele, Kazio też nie był zbyt rozmowny, tylko Bugdoł i Betlejewski usiłowali przekabacić mnie na stronę Dziurawicza. Daremny trud. Ja nie umiem robić z gęby cholewy. Mam innego kandydata...

Jerzy Domański był nie tylko moim faworytem na fotel prezesa PZPN. Mocno i bardzo aktywnie wpierali go również inni prominenci z centrali. Trio Domański – Pietruszka – Speczik skierowało apel do Komisji Statutowej Walnego Zgromadzenia Sprawozdawczo-Wyborczego Delegatów PZPN, w którym jednoznacznie dało do zrozumienia, że: „obecny Statut PZPN jest aktem niespójnym, pełnym luk, a w ostatecznym kształcie w minimalnym stopniu przystającym do rzeczywistości”. Autorzy przekazali to do wiadomości prezesowi Górskiemu, a we mnie dostrzegli sojusznika grupy domagającej się zmian. Jako pierwsi za koniecznością opracowania nowego STATUTU wypowiedzieli się działacze Warszawskiego OZPN. Poparli:

- Zmianę związku stowarzyszeń na rzecz federacji autonomicznych podmiotów prawnych.

- Modyfikację definicji członkostwa PZPN – poza osobami prawnymi uwzględnić w nim również osoby fizyczne.
- Wprowadzenie trójpodziału władzy na uchwałodawczo–jurysdyczną, dyscyplinarną i wykonawczą.
- Upodmiotowienie prawne piłkarzy, określenie ich statusu i zagwarantowanie uczestnictwa we władzach organizacji.
- Zmianę trybu wyłaniania władz PZPN. Umocnić podstawy demokratyczne, równość i równorzędność wszystkich członków PZPN i zakaz łączenia funkcji i stanowisk w organach uchwałodawczych i wykonawczych.
- Zagwarantowanie daleko idącej autonomii organizacjom członkowskim.

Jedyne zastrzeżenia, to:

- regulacje statutowe
- reprezentowanie wobec władz państwowych i międzynarodowych organizacji piłkarskich
- orzecznictwo dyscyplinarne.

Uczestniczyłem w wielu zebraniach propagujących te wartości i wskazujących na Domańskiego jako głównego kandydata na sternika PZPN. Po drugiej stronie tej wyborczej barykady, bronionej przez wciąż niebywale silną „grupę śląską”, znalazł się Ryszard Niemiec, dziennikarz – prezes OZPN z Krakowa. Przegrał głosowanie na wybór przewodniczącego zebrania sprawozdawczo-wyborczego, ale walnie przyczynił się do elekcji Mariana Dziurówicza. Jednak największy wpływ na zwycięstwo wyborcze Mariana miał ustępujący prezes Kazimierz Górski. Ze zjazdowej mównicy oficjalnie zarekomendował Magnata. Trochę nieświadomie Dziurówiczowi pomógł tu również poseł na sejm Marek Wielgus. Wbrew stanowisku Konwentu Prezesów WOZPN tylko w Jerzym Domańskim upatrującego kandydata na prezesa nagle sam zapragnął przejąć ster PZPN. Wielki mówca i filozof rzymski Marcus Tullius Cicero twierdził,

że w podobnych sytuacjach „*nomina sunt odiosa*” czyli – nowe nazwiska są niepożądane. Bo gdzie dwóch się bije, tam trzeci korzysta...

Stolica w odwrocie. W nowym zarządzie PZPN z działaczy Warszawskiego OZPN na uznanie „ludzi Dziurowicza” zasłużyli tylko: Witold Abert, Eugeniusz Kolator, Artur Mazurek i właśnie Marek Wielgus. Ja, „przyjaciel” Mariana nie miałem teraz najmniejszych szans. Tę skromną rolę stolicy we władzach krajowego piłkarstwa, co nieco osłodziło powierzenie Michałowi Listkiewiczowi funkcji sekretarza generalnego PZPN, a Władysławowi Stachurskiemu – selekcjonera drużyny narodowej. Nie miałem wątpliwości, że w obu wypadkach były to decyzje „na pokaz”. Wkrótce bowiem Władka zdymisjonowano, a „pan Michał” skrępowany gorsetem pustych haseł prezesa – „porządek musi być”, sam zrezygnował.

Sportowa pozycja stołecznego piłkarstwa i makroregionu warszawsko-mazurskiego była dużo, dużo lepsza. Zdobywaliśmy złote medale we wszystkich kategoriach wiekowych juniorów: w pucharach imienia Wacława Kuchara, Jerzego Michałowicza i Kazimierza Deyny. Udało się zaszczepić tego bakcyła młodzieżowego futbolu niemal wszystkim znaczącym działaczom klubowym, no i oczywiście w okręgu i makroregionie. To była dobra wizytówka naszego piłkarstwa, czysto amatorskiego, jeszcze nie skażonego rzekomym „profesjonalizmem”. Tyrzał jak osioł trener koordynator Zygmunt Ocimek oraz szkoleniowcy poszczególnych drużyn: Tadeusz Siejewicz z Białegostoku, Ryszard Kosiński, Jerzy Biechoński i ich liczni współpracownicy z Ciechanowa, Olsztyna i Warszawy. Nigdy i nigdzie nie byli w swym trudzie osamotnieni, praktycznie każdy mecz reprezentacji Warszawy lub makroregionu obserwowali, dopingowali zawodników i udzielali trafnych wskazówek: Bernard Okrasa, Zbigniew Cybulski, Waldemar Wojciechowski, Jan Małkiewicz i prezes Jerzy Lechowski. Pańskie oko konia tuczy...

Władze okręgów piłkarskich mają niewielki wpływ na pracę w I-ligowych klubach, ale radą i... życzeniem szczęścia mogą jednak służyć. Tak właśnie układała się współpraca na linii WOZPN – wielkie stołeczne kluby. Niemal całe dziesięciolecie 1990-2000, to – obok zgrzytów – pasmo sukcesów Legii i Polonii w lidze i rozgrywkach o Puchar Polski. Do Warszawy zawitała również europejska Liga Mistrzów. W pierwszym podejściu Legia zapłaciła słone frycowe, ale już w drugim starciu wraz ze Spartakiem Moskwa zakwalifikowała się do ćwierćfinałów. W marcu 1996 roku rywalem „wojskowych” w tej fazie Ligi Mistrzów był Panathinaikos Ateny. Zima nie ustępowała, wszędzie lód i śnieg. Stadion Wojska Polskiego przedstawiał żałosny widok. Nawierzchnię boiska zniszczyły tony soli i różnych środków chemicznych. Podgrzewanej płyty nie było. W tych anormalnych warunkach padł bezbramkowy remis. Rewanż pewnie wygrali Grecy. Legioniści przefajdali również mistrzostwo Polski. W decydującym meczu prowadzili 1:0 po pięknym strzale z woleja Tomasza Wieszczyckiego, mimo to przegrali 1:2. Ówczesny trener Widzewa Franciszek Smuda tak to skomentował:

... Oni mieli indywidualności, a my dysponowaliśmy grupą zgranych zawodników... A może zjadła ich trochę pycha?

Przyczyn było więcej, między innymi brak przywiązania do barw i pogoń za lepszymi zarobkami. Przebąkiwano też o bierności niektórych zawodników. Zaraz po zakończeniu sezonu ze składu, który walczył w Lidze Mistrzów, odeszło aż 9 zawodników: Maciej Szczęsny, Marek Józwiak, Krzysztof Ratajczyk, Radosław Michalski, Tomasz Wieszczycki, Zbigniew Mandziejewicz, Leszek Pisz, Grzegorz Lewandowski i Jerzy Podbrożny. Koniec Legii warszawskiej? Przejmie ją cudzoziemska? Odżyła tu stara prawda: same nazwiska nie grają! Tak osłabiona Legia znowu wywalczyła wicemistrzostwo Polski, a w Pucharze UEFA zrewanżowała się „Wszechateńskim” za zeszłoroczne niepowodzenie w Lidze Mi-

strzów. W naszej ekstraklasie znowu górą był Widzew. Po raz drugi jednak frajersko zachowali się legionieści.

Zwycięstwo łodzian z Legią w Warszawie w meczu już praktycznie przegranym przypomniało kibicom z całej Polski, że Widzew wciąż jest „drużyną z charakterem”. Łódzka ferajna mierzyła wysoko i powalczyła o Ligę Mistrzów. Zaczęła obiecująco od wygranej z duńskim Broendby 2:0. Rewanż dość niespodziewanie przybrał formę dramatu, przeciwnik prowadził u siebie już 3:0. Łodzianie rychło jednak doprowadzili do w pełni ich urządzającego wyniku 2:3. Liga Mistrzów będzie teraz w Łodzi! Cała drużyna z Tomaszem Łapińskim, Mirosławem Szymkowiakiem, Maciejem Szczęsnym zasłużyła na uznanie, ale najwięcej braw zebrał Marek Citko. To był wyjątkowy rok w jego piłkarskiej karierze. Strzelał bramki w naszej lidze, w klubowych rozgrywkach UEFA i w reprezentacji Polski. Właśnie w roku 1996, jako drugi Polak zdobył bramkę na Wembley. Telewidzowie zafundowali mu koronę króla całego polskiego sportu. Zabawna citkomania...

W tym czasie Warszawski OZPN rozpamiętywał jeszcze swoje 75-lecie. Kolejny dla stolicy tytuł mistrza Polski i ponowny start Legii w Lidze Mistrzów miał być mocnym akcentem tego jubileuszu. Mówią, że nadzieje żyją najdłużej, ale tym razem trwały tylko do 85 minuty. W tym momencie wszelkich złudzeń, właśnie w meczu z Widzewem, pozbawili swoich fanów dziwnie rozkojarzeni piłkarze. Trener Mirosław Jabłoński też już widać bujał w obłokach. Dokończył zmian, które rozkleiły zespół i całkowicie pozbawiły go cech ofensywnych. Sprytnie wykorzystali tę słabość „chłopcy Smudy” i dosłownie w ciągu pięciu minut z przegranego 0:2 doprowadzili do zwycięskiego 3:2. Specjalność Widzewa? Niedojrzałość legionistów! Rywale z Ligi Mistrzów już tak bezradni nie byli, więc łodzianie nic tu nie wskórali. Ogon tabeli!

Znacznie większy hart ducha, niż piłkarze Legii, wykazali w sezonie 1996/1997 poloniści. Dziarsko zmierzali do ekstraklasy i z rozmachem tworzyli

zespół na miarę mistrza Polski. Uroczystości jubileuszowe WOZPN przebiegały więc w dobrym nastroju. Podniosłą atmosferę potęgowało miejsce, w którym odbyła się ta historyczna gala. Futbol trafił w progi stołecznego ratusza, siedziby prezydenta miasta i wojewody warszawskiego. Gmach na Placu Bankowym rozbrzmiewał więc głosem usatysfakcjonowanych działaczy. Niebagatelne zasługi stolicy dla polskiego piłkarstwa podkreślili przedstawiciele PZPN i wszystkich OZPN-ów. Wojewoda Bohdan Jastrzębski też nie szczędził pochwał. Nawiązał w swoim barwnym wystąpieniu do patriotycznych postaw piłkarzy i roli Warszawy w walkach o niepodległość Polski.

Jestem zbudowany organizacją waszego święta właśnie w dniu 29 listopada. To ważna data w dziejach Warszawy. Jesteście wierni tradycji nie tylko sportowej, lecz także wielkich zrywów powstańczych ludu Warszawy. Świętujecie w dniu wybuchu Powstania Listopadowego 1830 roku. Były to dni „naszej krwi i chwały”. Dokonania piłkarzy też są znaczącą częścią w 400-letniej historii stołeczności Warszawy.

Wojewoda jednak nie tylko chwalił, także ganił. Przed rokiem na Stadionie Wojska Polskiego powiało grozą. Po meczu finałowym o Puchar Polski Legia – GKS Katowice 2:0 wszczęto bójki, zdemolowano odkrytą trybunę, przerwano żelazne ogrodzenie, chuligani wtargnęli na boisko. Interweniowała policja, w ruch poszły polewaczki i armatki wodne. Sodoma i Gomora, żaloszny widok. Kto wywołał te barbarzyńskie zajścia i dlaczego? Mecz był przecież „czysty”, arbiter dobrze prowadził zawody, Legia wygrała. Skąd więc te skandaliczne wyczyny? Podobno nie bez winy była tu też policja. Zachowywała się prowokacyjnie. Kruchy argument...

Ubolewałem w oficjalnym oświadczeniu Warszawskiego OZPN:

... Stadiony – współczesne świątynie sportu – stają się azylem dla chuliganów, wandalów, zwykłych łobuzów. Trybuny przeradzają się w miejsca porachun-

ków młodocianych gangów, na zieloną murawę lecą petardy. Rodzą się zagrożenia... Warszawa (i jej stadiony wszystkich klas) nie jest wolna od tych ułomności. Nie umiemy uszanować przeciwnika, nawet sąsiada zza miedzy... To takie niskie, niegodne stolicy. Niech przestaną nas dzielić barwy klubowe, a zacznijmy łączyć dobre imię polskiego futbolu... Szanujmy pracę sędziów i wysiłek zawodników walczących drużyn... Taką drogę wskazuje, nam gorące serce i... chłodny umysł...

Wydarzeniem sportowym Roku Jubileuszowego WOZPN był zorganizowany w stolicy i na Mazowszu wrześniowy turniej o Puchar Warszawskiej Syrenki. Był też „dawnych wspomnień czar...”. Na stadionie Legii „Orły Górskiego” spotkały się z reprezentacją oldbojów Warszawy. Pyszna zabawa. Z jednej strony w barwach stołecznego grodu między innymi olimpijczycy: Edmund Zientara, Jerzy Woźniak, Lucjan Brychczy, Jerzy Kraska oraz medaliści mistrzostw świata: Jan Tomaszewski, Robert Gadocha, Paweł Janas i Stefan Majewski, a z drugiej „stara wiara Górskiego”: Adam Musiał, Piotr Mowlik, Andrzej Szarmach, Zdzisław Kapka, Kazimierz Kmiecik, Janusz Kupcewicz i... kilku zupełnie młodych żrebacków. Wygrali ci nieco później urodzeni, ale prawdziwych atrakcji piłkarskich w równym stopniu dostarczyli jedni i drudzy.

Do pełnego szczęścia w tym niecodziennym widowisku zabrakło jednak aktora odgrywającego zazwyczaj główną rolę –Kazimierza Górskiego. Wybrał się na Olimpiadę do Atlanty, już był bliski podjazdu na lotnisko „Okęcie”, gdy nagle dopadła go bolesna i do dziś trwająca choroba kręgosłupa. Później przyczepiły się też inne. Jubileusz WOZPN i mecz swoich „Orłów” na Łazienkowskiej, na murawie, na której w młodości sam rozegrał dziesiątki spotkań ligowych, teraz postrzegał li tylko oczami wyobraźni na łóżu szpitalnym przy ul Szaserów w Warszawie. Odwiedzili trenera najwierniejsi z ekipy „Orłów Górskiego”.

– Nasz Kazio, to mocny facet – powiedzieli po tej wizycie – Adam Musiał i Zdzisław Kapka. – Nie da się chorobie, wyjdzie z tego... Pocieszałyśmy go? Nie, tylko umocniliśmy w przekonaniu, że wkrótce znowu spotkamy się na boisku.

Na tym niezwykłym meczu sławnego trenera reprezentowała żona Marysia, córka Urszula i syn Dariusz. A drużynę „Orłów” w zastępstwie Kazimierza prowadził Henryk Serafin, gracz Legii z przełomu lat czterdziestych i pięćdziesiątych. Był też na tej uroczystości Ryszard Koncewicz, starszy kolega jeszcze ze Lwowa i wspólnej pracy w PZPN. Chodząca kultura. Szarmancki wobec Marysi Górskiej i jej dzieci, serdeczny i sprawiedliwy w ocenie dokonań ziomka, przyjaciela, przecież także rywala z branży trenerskiej. Teraz życzył mu szybkiego powrotu do zdrowia. Gromkie oklaski nagrodziły typowo lwowski ukłon Koncewicza: *Całuję rączki pani Marysiu...*

Kazimierz Górski powoli wracał do zdrowia. Było ono potrzebne jemu, rodzinie i... piłkarstwu. Odzyskiwał siły i chęć społecznego działania. Odwiedziłem go z żoną Danusią na kuracji w Ciechocinku. Wypiliśmy nawet po małym koniaczku. Kazio ocenił to w swoim stylu:

– Wiesz Jerzyk, że mnie teraz zupełnie na ciągnie do gorzałki...

Historyczne osiągnięcia stołecznego futbolu, chyba można to tak określić, utrwaliliśmy w pracy zbiorowej „75 lat Warszawskiego Okręgowego Związku Piłki Nożnej”. Współautorzy tekstów i wykonawcy zdjęć znani i godni zaufania, między innymi: Stefan Grzegorzczak, Mirosław Skórzewski, Dariusz Górski, Mieczysław Świdorski, Eugeniusz Warmiński... Listy gratulacyjne przesłali na Bracką 18 wojewoda warszawski Bohdan Jastrzębski i prezydent Warszawy Marcin Świąćicki oraz osobiście na moje ręce: Prezes Honorowy PZPN Kazimierz Górski, prezes Marian Dziurawicz i sekretarz generalny Michał Listkiewicz. A Miruś Skórzewski przeprowadził ze mną jubileuszową rozmowę, w tytule wiernie oddając moją sportową pasję: FUTBOL – MOJA MIŁOŚĆ.

– Pracowałeś w „Przeglądzie Sportowym” obok wielu wybitnych dziennikarzy, znawców futbolu. Czy dużo się od nich nauczyłeś?

– Trafiłem do tego pisma zaraz po studiach na Uniwersytecie Warszawskim i specjalizacji sportowej w AWF Warszawa. Tam uczyłem się dziennikarstwa i roli sportu w życiu społeczeństwa. A w zawodzie moimi promotorami, zresztą nie tylko w „Przeglądzie Sportowym”, byli: Edward Strzelecki, Tadeusz Maliszewski, Włodzimierz Gołębiewski, Stanisław Mielech, Mieczysław Szymkowiak, Jerzy Zmarzlik i mój bezpośredni szef w „PS” Grzegorz Aleksandrowicz. Nauczyli mnie rzetelności, obiektywizmu, umiłowania sportu. A redaktor Aleksandrowicz zachęcił do działalności społecznej w piłkarstwie, bycia w środku „sprawy”. Przekonywał, że nie wystarczy obserwować sport z wysokości trybun, a mecze z okien pociągu pośpiesznego. Sam byłem zawodnikiem, przeto w pracy dziennikarskiej łatwiej mi było „czytać grę”.

– Wiem skądinąd, że miałeś liczne kontakty z trenerami, piłkarzami, sędziami, uczęszczałeś na kursy i konferencje szkoleniowe.

– Byłem i jestem przekonany, że tylko dzięki takim kontaktom można poznać piłkarstwo „od podszewki”. Pomogli mi w tym: Ryszard Koncewicz, Tadeusz Foryś, Michał Matyas, Waclaw Pegza, Jaroslav Vejvoda, Geza Kaloscai, Janos Steiner, a przede wszystkim Kazimierz Górski.

– Z panem Kazimierzem jesteś bardzo zaprzyjaźniony.

– Nasza znajomość, a później przyjaźń trwa ponad pięćdziesiąt lat. Wcześniej obserwowałem Górskiego jako zawodnika. Grał zespołowo, miał świetny strzał z rzutu wolnego. Tak się potem złożyło, że w tym samym czasie Kazimierz rozpoczął pracę jako trener, ja jako dziennikarz.

– Znasz osobiście plejadę wybitnych polskich piłkarzy. Czy mógłbyś wymienić najlepszych zawodników okresu powojennego?

– Wiem, że kibice to lubią, ale i tak wszystko wiedzą lepiej. Mnie – podkreślam, to moje subiektywne zdanie – najbardziej przypadli do gustu, wymieniam ich w kolejności alfabetycznej: Zbigniew Boniek, Lucjan Brychczy, Gerard Cieślik, Kazimierz Deyna, Robert Gadocha, Mieczysław Gracz, Grzegorz Lato, Włodzimierz Lubański, Józef Młynarczyk, Ernest Pohl, Jerzy Woźniak, Edmund Zientara i... spora grupa rówieśników Dariusza Dziekanowskiego. Gdybym miał ich sklasyfikować, to na pierwszym miejscu byłby Deyna.

– A jacy zagraniczni piłkarze wywarli na tobie największe wrażenie?

– Wielu poznałem osobiście, nawet przeprowadzałem z nimi wywiady. Niewątpliwie największymi gwiazdami w moich czasach byli: Alfredo di Stefano, Ferenc Puskas, Sandor Kocsis, Rajmund Kopa, Lew Jaszyn, Edward Strelcow, Gunnar Nordhal, Stiepan Bobek, Pele, Diego Maradona, Franz Beckenbauer, Gerd Mueller, Johan Cruyff, Johan Neeskens, Luis Suarez, Francisco Gento, Tostao, Rovelino, Jairzinho, Luigi Riva, Gianni Rivera, Paolo Rossi, Sandro Mazzola, Dino Zoff, Guenter Netzer, Josef Masopoust, „Gundi” Asparuchow, George Best, Bobby Charlton, Michel Platini... Zidane’a poznałem w Karczewie, gdy był juniorem. Olśnił mnie swoją techniką podczas turnieju o Puchar Warszawskiej Syrenki.

– Czy działałeś w jakimś dużym klubie?

– Nie, nigdy! Kocham piłkarstwo jako całość, zjawisko społeczne. Zawsze patrzyłem szerzej, w skali okręgu, kraju. Dziennikarz nie powinien obejmować funkcji rzecznika prasowego, co niestety – ostatnio zdarza się dość często. Kieruję się zasadą: wiedza, kompetencje, bezstronność. Jestem przy tym zdecydowanym orędownikiem prymatu sprawiedliwości nad miłosierdziem. Dura lex, send lex...

– Młodzi ludzie wolą „świętą wojnę” niż dobre zachowanie i uznanie dla rywala...

– To jedno z największych zmartwień współczesności, sprawa bardzo bolesna. Sprawcami awantur są pospolici chuligani, mocni czują się w tłumie. Nie sądzę, by prawdziwy kibic działał na szkodę swojego klubu, sportu, piłkarstwa. Szanują się piłkarze, przyjaźnią trenerzy, także większość działaczy, tymczasem niektórzy niby – sympatycy futbolu zachowują się jak troglodyci w epoce kamienia łupanego. Ci ludzie zapewne nigdy nie uprawiali sportu i nie rozumieją sensu sportowej rywalizacji.

ARGUSOWE OKO PANA JANKA

W marcu 1997 roku na Walnym Zgromadzeniu PZPN dokonano nowelizacji Statutu Związku. Określono też zasady i tryb wprowadzania reformy rozgrywek. Zmiany te w miarę szybko zatwierdził ówczesny prezes UKFiT, dr Stefan Paszczyk, a następnie zostały one wpisane do rejestru stowarzyszeń kultury fizycznej i związków przez VII Wydział Cywilny i Rejestrowy Sądu Wojewódzkiego w Warszawie. To było jedno z ważkich osiągnięć PZPN. Jak podkreślono w obszernym dokumencie naszej centrali piłkarskiej „KONFLIKT UKFiT – PZPN”, osiągnięcia organizacyjno-finansowe Związku „były... całkowicie w niesmak nowemu prezesowi UKFiT, Jackowi Dębskiemu”. Postanowił „wypowiedzieć wojnę” PZPN-owi, a w jej następstwie „stworzyć sobie... przedpole do podporządkowania organizacji sportowych w Polsce administracji państwowej”.

„Wojna” UKFiT – PZPN przybrała formy dotychczas niespotykane w świecie sportowym. Siłą rzeczy znowu nadwerężyło to pozycję polskiego piłkarstwa na arenie międzynarodowej. Jaki czort podkusił zwaśnione strony? Złośliwcy przebąkiwali, że to Jan Tomaszewski wywołał wilka z lasu. Zaczęło się od sporu w sprawie przejścia piłkarza Mirosława Szymkowiaka z Olimpii Poznań do Widzewa, a zakończyło na zawieszeniu przez prezesa UKFiT 33 członków zarządu (dziwne, że nie wszystkich), w tym prezesa Mariana Dziurowicza i sekre-

tarza generalnego Michała Listkiewicza. Śledziłem ów konflikt pilnie z pozycji prezesa Warszawskiego OZPN. Doktor Dziurawicz nie był moim wymarzonym prezesem, ale od początku stanąłem po stronie Związku. Szybko poczułem „pismo nosem”, byłem przekonany, że na restrykcjach wobec centrali się nie skończy. Skok po władzę w futbolu zatoczy szerszy krąg. Lada dzień „lustrowane” będą również Okręgowe Związku Piłki Nożnej. I tak się stało...

W naszym OZPN i makroregionie warszawsko-mazurskim akurat w sezonie 1997-1998 rozpoczęło się długo trwające pasmo sukcesów w pracy z młodzieżą, a tu nagle uderzono nas obuchem w łeb. Na własnej skórze zaczęliśmy odczuwać skutki sprzeczności interesów Urzędu ze Świętokrzyskiej ze Związkiem w Alejach Ujazdowskich 22. Utrudniając systematyczną i planową pracę emisariusze Urzędu Kontroli Skarbowej bardzo dokładnie spenetrowali wszystkie nasze księgi i konto bankowe, wpływy i celowość wydatków Warszawskiego OZPN. W wyznaczonym terminie nie mogli znaleźć żadnych uchybień, przeto dwukrotnie przedłużyli czas kontroli. Ostatecznie ogólną część sprawozdania i wnioski zawarte w końcowym protokole pokontrolnym utrzymano w formie kolorowej laurki. Narażono jednak wielu działaczy społecznych na stres, a pracowników etatowych na niepotrzebną stratę czasu.

Prawie trzy lata trwała futbolowa wojna UKFiT z PZPN. Z pozycji okręgu publicznie broniłem dobrego imienia Związku. Jednoznacznie po stronie PZPN wypowiadali się działacze również z innych dyscyplin sportu. Z naszego środowiska najmocniej Rudolf Bugdoł ze Śląska i Ryszard Niemiec z Krakowa zarzucali prezesowi Urzędu gwałcenie elementarnych zasad społecznego dialogu i brak poszanowania – tak cennych w sporcie – reguł demokratycznego współdziałania. Oburzenie było powszechne, ale chęć zażegnania sporu równie duża. Podkreślano to w listach – z prośbą o mediacje – do premiera Jerzego Buzka oraz nowo wybranego prezesa FIFA Josepha Seppa Blattera.